

Na początek (dlaczego tak, dlaczego nie)

Czytać, żeby zrozumieć, czy żeby się bezrozumnie zachwy-
cić; czytać tak czy owak? Takie pytanie to już akademizm
i – właśnie w tej chwili, kiedy wydymamy usta, żeby się na
akademizm rytualnie obruszyć, spróbujmy może tym razem
w rytuał nie popaść. Biorąc od akademii pieniądze (jak autor
tej książki), nie wołać znów: precz z akademią. Ba, ale jak to
zrobić, skoro akademia jest taka okropna.

Czytać, żeby tłumaczyć – to co innego. Jak się przez wie-
le lat robi jedno i drugie, czyta się w trybie akademickiego
literaturoznawstwa, na potrzeby konferencyjnych elabora-
tów, a zarazem dla przekładu, żeby wygmerać z języka coś, co
przyda się ludziom bardziej niż niestrawne analizy, to w któ-
rejś chwili niechybnie pojawi się przypuszczenie: przekład,
najpierw lektura, potem wysiłki kreatywne – pomagają zro-
zumieć więcej i dogłębniej. A jeśli tak, to może taka refleksja
nad literackim stanem rzeczy okaże się potrzebna nie tylko
samemu przekładowi? Może warto podzielić się nią z pub-
licznością akademicką i pozaakademicką (bo czemu nie z nią
również?), zainteresowaną jednym i drugim, literaturą obcą
oraz kuchnią przekładową? Ta myśl towarzyszy mi od jakie-
goś czasu i zainspirowała tę książkę.

Dwadzieścia jeden wierszy niemieckojęzycznych, przekła-
dy i szkice – czym jest ten zestaw? Jeśli próbą historyczno-
literacką, to bardzo specyficzną: wybiórczą i subiektywną.
Ma ona wprawdzie ramę czasową, obejmującą, wedle jednej
z wykładni periodyzacyjnych, nowoczesność literacką, któ-
ra zaczyna się u schyłku XVIII wieku (w naszym wypadku

od przedklasycznego wiersza Goethego) i trwa do teraz. Ale już stany skupienia tej nowoczesności, a zwłaszcza luki w jej obrazie świadczą o prywacie antologisty. Są więc ważne nazwiska: Goethe, Hölderlin, Heine czy Mörike, ale nie ma Schillera ani romantyków. Cała połać dziewiętnastego stulecia pozostaje nietknięta, a z kolei dwudziestolecie 1894–1913, od Georgego i Hofmannsthalera przez Rilkego, van Hoddisa i Lasker-Schüler po Trakla i Bennę uobecnia się wyraziście; potem po kilka wierszy przypadnie na lata sześćdziesiąte i na początek XXI wieku. Wybór tych dwudziestu jeden (oczko!) utworów nie był dyktowany potrzebą reprezentatywności historycznoliterackiej, lecz osobistym upodobaniem, gustem oraz innego rodzaju motywacją tłumacza i komentatora.

Mimo to, mniej lub bardziej przypadkowo i fragmentarycznie, a może i nieuchronnie, zaznacza się w tym wyborze szerszy horyzont; czasem wskutek filologicznej (raczej ciekawostkowej) dłubaniny, czasem dlatego, że kontekstowe czy intertekstualne kształty same się rysują – bo motyw (na przykład Ofelii czy martwego żołnierza) nie przestaje wędrować, tworząc geometryczno-literackie figury, które wprasza ją się nam do wyobraźni. To zaledwie preteksty do rozważań komparatystycznych, na które nie będzie tu miejsca. Niemniej zarówno takie geometrie, jak i literackie ujęcia doświadczeń zbiorowych, od historii politycznej (Brecht, Eich) przez zjawiska literackie (ekspresjonizm), namysły wokół natury i kultury (Benn, Enzensberger, Krüger, Grünbein) po problematykę żydowską (Lasker-Schüler, Ausländer) – wszystkie te fenomeny, tematy i dyskursy przewijają się, z reguły migawkowo, w wierszach i wersach, tych klasycznych (jak sonet i tercyny), regularnych metrycznie, rymowanych, i tych całkiem wolnych. A skoro się przewijają, to każą

o sobie pomyśleć – dzięki przekładowi może jakoś inaczej niż bez niego?

Jako się rzekło: dzieje się tak przypadkowo i nieuchronnie, spieszymy więc powiedzieć o arbitralności niearbitralnej, lecz umyślnie sprokurowanej; ona bowiem jest zasadą doboru tekstów przekładowych i analitycznych. Wyznaczają ten dobór cztery z grubsza kryteria, czasem nie dość ostre, by wybiórca umiał kategorycznie orzec, które z nich (jedno czy więcej naraz?) zdecydowało o podjęciu danej próby przekładowej. Po pierwsze więc, chodzi o wiersze z mojego punktu widzenia bardzo po polsku potrzebne, a nieistniejące albo istniejące w przekładach bardziej wątpliwych, niżby się chciało. To enigmatyczne, acz chyba wyraziste sformułowanie, które dyktuje mi przyjęta w książce reguła: nie poddaję ocenie innych przekładów; niekiedy przytaczam rozmaite cudze rozwiązania, ale (z jednym czy drugim wyjątkiem) bez intencji i konsekwencji krytycznej. Dorzucam swoje w poczuciu, że bardzo trudno wyjaśnić, dlaczego coś w literaturze jest dobre i ważne, jeśli to coś nie przeszło pozytywnie próby przekładowej (do dziś tak jest z niektórymi dziełami kanonu światowego). Więc trzeba próbować. Z tej potrzeby wzięli się w spisie treści zwłaszcza Goethe i Hölderlin, do których co rusz wracam w pracy literaturoznawczej, a ilekroć wracam, boleję nad ich przekładową niedoobecnością. A dalej chyba nieoczywisty w tym zestawie wiersz Szwajcara Conrada Ferdinanda Meyera. I austriackie tercyny Hofmannsthala. I emblematyczny dla ekspresjonizmu wierszyk van Hoddisa. I mające epokowy charakter liryczne świadectwo Eicha.

Po drugie, jak na prywatną historię literatury przystało, znalazły się w niej nazwiska i teksty, z którymi, mówiąc koloquialnie, mam jakąś sprawę. Jest w tym zbiorze grupa wierszy

przełożonych przeze mnie już wcześniej, które jednak wróciły na moje biurko, bo domagały się poprawek: zaczęły się ich domagać, kiedy przeglądałem te ważne dla mnie przekłady pod kątem ich opisu. Poprawiłem więc Brechta, Bachmann, Huchla, Krügera, Wagnera i Grünbeina. Nawiasem mówiąc, przekonanie, że jak coś się spaaprało, to warto skorygować błędy, jest chyba w tłumackim narodzie nieczęste. Dlaczego? Podejrzewam rzecz przykrą z punktu widzenia zdrowego rozsądku: że cały ten naród jak jeden mąż i jedna żona żywi zgoła odmienne i doprawdy zabawne przekonanie. Że mianowicie nigdy niczego nie spaaprał.

Do wierszy wybranych na skutek osobistych, głównie, choć nie tylko, warsztatowych motywacji zaliczyłbym także krótki wiersz Mörikego i dwa wiersze autorek pochodzenia żydowskiego, Lasker-Schüler i Ausländer. Dodawać, że ta motywacja także tutaj nosi alpinistyczne znamiona, nie trzeba, bo regułą w tym zbiorze są wiersze-wyzwania. W przeciwnym razie szkoda by było tyle o naszej dwudziestojednoosobowej drużynie rozprawiać.

Po trzecie, spis treści wypełniają także wiersze dobrane, to znaczy podobnie bliskie moim upodobaniom jak te z grupy drugiej, a w dodatku jakoś potrzebne w zestawieniowym kontekście. Co mówiąc, czuję, że zaprzeczam sobie, bo wypierałem się przecież reprezentatywności. Ale jednak: bez Heinego nie wyobrażam sobie takiej ekspozycji (zajmowałem się nim w numerze „Literatury na Świecie”), a bez Novalisa umiem sobie wyobrazić; Trakl i Rilke już mnie (w innej książce) translatoologicznie frapowali, dokuczałyby mi ich nieobecność tutaj, a na przykład nieobecność Georgego może by nie dokuczała, ale jeden jego wiersz chodził za mną od lat (tak samo jak wiersz Meyera). I nie mniej ważni dla mnie z racji moich wcześniejszych zatrudnień przekładowych, a zarazem reprezentatywni w sensie rzeczowego uatrakcyjnienia listy obecności, są Benn i Brecht. Ta lista nie

aspiruje do podręcznikowej kanoniczności, co nie znaczy, że nie jest na kanon otwarta, o czym świadczą już nazwiska i tytuły zaliczone do grupy pierwszej. Wspomniana mglistość kryteriów nie ułatwia ich wypunktowania, ale – stety, niestety – należy do istoty naszej niearbitralnej arbitralności.

I po czwarte, czyli kryterium nareszcie czytelne i niedwuznaczne: na mojej liście są poeci, których tłumaczyłem nie-epizodycznie, z którymi się – nie tylko literacko – przyjaźnię i którym wiele zawdzięczam; to, że należą oni do historii literatury niemieckiej, a może nawet już do kanonu, ma drugorzędne znaczenie. Ostatni poeta natury Krüger, ostatni oświeceniowiec liryczny Enzensberger i ostatni wśród poetów Rzymianin Grünbein – sam nie wiem, czemu ostatni, ale ta intuicja jakoś mi się pcha pod pióro – dopełniają spis treści wierszami już dwudziestopierwszowiecznymi. I nadają mu silnie subiektywny, osobisty akcent.

Owa intuicja świadczy raczej o mnie niż o „moich” poetach. To jednak, w jaki sposób świadczy, wydaje się nie tak istotne jak nadrzędny fakt, że cały zarysowany tu koncept „oczka”, czyli dwudziestojednopunktowego zestawu, który dzięki przekładowi literackiemu ma pomóc coś zrozumieć, jest subiektywny, osobisty i autodeklaratywny głównie w jednej sprawie – właśnie translatoologii. Mam z tym pewien kłopot, ponieważ nie uważam się za teoretyka przekładu, większość swoich poglądów teoretycznych wyłożyłem w dwóch zaledwie tekstach¹, natomiast od lat uprawiam przekład

1 Obydwa były drukowane w „Literaturze na Świecie”, po czym znalazły się w jednym tomie: *Przekład jako byt sceniczny i Mała typologia wady*, [w:] *O nich tutaj (książka o języku i przekładzie)*, wybrał i opracował Piotr Sommer, Instytut Książki – Literatura na Świecie, Kraków–Warszawa 2016.

w praktyce. Swoistą weryfikację tej pracy przynosi niniejsza książka. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że w jej „filozofię” – kolekcję przekładów i autokomentarzy – wbudowałem, zrazu bezwiednie, pewien mechanizm: polega on na retoryce nieuchronnych samozachwaleń, przekonujących o trafności przyjętych rozwiązań, i nieodłącznej od tej retoryki, uporczywej argumentacji obrończej, która chce utrudniać dekonstrukcję nie tylko tej chwalby, lecz także przekładowego meritum.

Pozostaje kwestia gustu literackiego, którego każdy przytomny tłumacz powinien używać jako miary ostatecznie rozstrzygającej o jego wyborach, a który w wypadku tej książki wskazuje pewnie na upodobania dość klasyczne, by nie rzec (jak podpowiadałaby wspomniana intuicja) konserwatywne. Oczekiwać od czytelnika, że będzie je podzielał, to – by posłużyć się frazą jednego z przedstawianych tu autorów – „już za wiele i za wielki gwałt”. Moje przekłady i komentarze chciałyby tylko – rzetelnie, gdy idzie o warsztat translatorski oraz instrukcję jego obsługi – podsuwać odpowiedzi na pytania estetyczne: dlaczego tak, dlaczego nie. To na początek. A potem się zobaczy.